

Albert Boissiere.

# Człowiek bez twarzy.

6

(Ciąg dalszy).

Te ostatnie słowa przeraziły mnie niewymownie. Zdawało mi się, że nadchodzi ma ostatnia godzina. Wzrok mój, utkwiony w twarzy Joe Duncana, musiał wyrażać jakąś szaloną rozpacz, gdyż oprawca mój przysunął do łóżka fotel i siadając w nim wygodnie, rzekł mi:

— Uspokój się, drogi Jonatanie!... To dla twojego dobra... Nie będzie to nic bolesnego... Będę tylko musiał włożyć ci na oczy okulary. To dla bezpieczeństwa, gdyż ręka może mi zdradzić.

Zaczął sam zadawać sobie pytania i na nie odpowiadać, domyślając się bez trudu powodów mego niepokoju.

— Pytasz się, do czego to wszystko ma służyć? Jest to nadzwyczaj proste. Będziemy musieli się wkrótce rozstać, Jonatanie. Nie będzie to na długo, nie można jednak ani na chwilę nawet traścić korzyści z tego sposobu życia, jaki u mnie znajdujesz już od miesiąca. Zapewne zobaczysz niezadługo swą córkę Ewelinę, będziesz musiał bywać w świecie, że tak powiem, z otwartą twarzą!... A nie można za bardzo liczyć na swe szczęście!... To, że Marcadian nie poznał cię podczas swej pierwszej wizyty, nie dowodzi wcale, że zbyt cieżkim jest przedsięwzięcie środków ostrożności!... Nie można dopuścić, by Ewelina lub ktokolwiek inny poznał się... Nie można, by ci się przyglądano prosto w nos czy tutaj w Paryżu, czy też w Bostonie!... Twarz twoja musi być na tyle rażąca, iż musi odpychać od siebie wejrzenia wszystkich, kto znał Barrabasa... jak również i tych, kto będzie miał interes do Brentana!... Rozumiesz teraz? Z tego też powodu myślałem początkowo o czarnej ospie lub o wilku!... Ponieważ jednak natura nie przychodzi nam na pomoc, musimy więc my przyjść z pomocą naturze!... Zaraz się przekonasz!

Bambu powrócił z garunkiem, po który chodził... Joe rozpakował ostrożnie obie paczki, które przywiózł z Paryża. Pierwsza zawierała jakiś płyn, który wylał do przyniesionego naczynia... W drugiej była wata hygroskopijna i jakaś maść... Wskazując na pierwsze, rzekł z dyabelskim uśmiechem:

— Oto zło!

Potem, pokazując drugie:

— A to lekarstwo!

I dodał szyderczo:

— Kto powie, że ja nie jestem opatrnością, która, jak nas uczono, gdyśmy byli mali, nie dopuszcza zła, nie dając zaraz i lekarstwa na nie!

Niespokojnego swego wzroku nie spuszczałem z niego... Nic jeszcze nie rozumiałem... Nie mogłem zrozumieć... Nie śmiałem zrozumieć!

— I cóż ty — uniósł się — nie pojmujesz jeszcze mego planu?... Powiedz, chcesz, czy nie chcesz, by twoja córka Ewelina wyszła za mąż za mego syna Williama? Czy nie chcesz posiadać od tej chwili sto pięćdziesiąt milionów dolarów?... Czy wolisz stać się na nowo Barrabasem, leżeć jutro w więzieniu, znieść siebie, Polidora i Ewelinę, jednym słowem być nieszczęściem dla siebie i wszystkich? Wybieraj!...

Powieki moje ani nie drgnęły.

— Zresztą — mówił dalej — nie przyznaję ci prawa wyboru... Znam swój obowiązek i muszę dokonać planu, jaki sobie ułożyłem i od którego nie mnie nie odwiedzie...

Zawołał na Bambu:

— Garnek i pędzel, prędko!... Trzymaj mego przyjaciela mocno za uszy... by nie zrobił nam jakiego głupstwa... Tak, dobrze, kolanem na piersi, doskonale!

Zdawało mi się, że oszaleję... Negr całym swym ciężarem gniótł mi piersi... nad sobą widziałem jego wstrętą, czarną twarz o białych oczach i czułem jak jego stalowe palce wpijają mi się w głowę przy uszach...

Ostrożnym ruchem Joe zbliżył do mej twarzy tajemniczy pędzel... Wyjaśnił wreszcie.

— I cóż strasznego! jest to tylko witriol, nic więcej!... Niech ci się zdaje, że Lucyja Weill, którą opuściłeś w przeddzień obiecanego ślubu!... mści się teraz, jak to zwykle czynią porzucone kobiety!... I pociągnę hałas o taką drobnostkę... Prawda, że nie miałeś jeszcze czasu na to małżeństwo... z nią jednak byłoby gorzej... Ja dokonam tej pracy, jak skończony artysta... To tylko dla twojego dobra!... Nie ruszaj się!... Dokonamy tylko gówniej rzeczy... Na wypadek, gdyby ręka ma zdradzała, oczy swe

masz zabezpieczone okularami!... Jest to nieprzyjemna chwila, ale tylko chwila!... Myśl o Ewelinie, kochany Barrabasi!... Myśl o stu pięćdziesięciu milionach dolarów, które są twoją własnością, Brentanie!... Masz dowód mego dobrego serca i dobrej woli!... Okaż ją i ty, mój stary przyjacielu Jonatanie!...

... Szalałem! Zdawało się, że oszaleję z bezsilnej wściekłości! Oblany witriolem!... Joe Duncan, milioner chce mnie spalić witriolem!

Język ognisty przypiekił mi czoło!... Myślałem, że mózg mi pęknie, że oczy wyskoczą z swych orbit!... Pędzel smarował mi policzki... Cały potok śliny i zółci rzucił mi się w usta... Język mój nabrzmiewał, puchł... stał się w podniebieniu tak wielkim, jak całe me ciało! Ciało me zamieniło się w język!... W jakimś strasznym pomieszaniu zmysłów językiem odbierałem wszystkie wrażenia!...

...Nie znam sposobu opisu reportera irlandzkiego, który z zamiłowaniem do swego zajęcia, zużył wszystkie tortury wieszania!... Ja tyle tylko mogę powiedzieć, że przy trzecim dotknięciu pędzlem mego niezwruszonego kata, wyczerpany z sił, bez żadnych myśli, bez wrażenia i nawet na te straszne męki, zemdlełem.

## IX.

Jesień, jest to pora roku, którą dla jej czaru melancholijnego, zacierającego w nas wspomnienia żarów letnich, najbardziej lubię. Jest to jakby lekcyja, na której uczymy się poznawać próżność różnych zapalów młodości życia, podobnej do pięknego lata bez owoców. Tego roku jesień o bładem niebie, zamierzającym słońcu i łagodnej temperaturze była cudowna... Była to jesień rekonwalescencji, w której zbierało się siły, by przetrzymać zimę... Mój powrót do zdrowia postępował wolno, monotennie... Mogłem teraz rozmyślać spokojnie o swym strasznym położeniu. Stałem wobec faktu tak nieodwołalnego jak śmierć Gabryeli. Nie można już było naprawić zbrodniczego zamachu Joe Duncana, którego ja stałem się ofiarą. Byłem zeszpecony na zawsze, patrząc jednak na to po odrzuceniu wszelkiej czułościowości z dodatniej strony, byłem gotów przyznać, że Joe działał, jak to chętnie twierdził, tylko dla mego dobra! Przez cały czas mej rekonwalescencji Joe był dla mnie jak najgorliwszy, najuważniejszy i najczulszy przyjaciel... Nie pozwalał, by najmniejszy człowiek zmieniał mi bandaż... Ręce miał delikatne jak siostra miłosierdzia; okazywał mi poświęcenie bez granic, zdradzał prawdziwie złote serce!... Nie mogłem wahać się co do wyboru między nim, a lekarzem, jakiego dla pozoru zawezwał. Doglądania Joe Duncana, mego oprawcy, były mi tylko przyjemne!...

Lekarzowi przedstawił całą awanturę na swój sposób, a ja temu nie przeczyłem. Opowiedział mu, że z powodu zerwania małżeństwa, zapowiedzianego na jutro, opuszczona Lucyja Weill tak się na mnie zemściła. Lekarz westchnął jak na zawołanie i potwierdził:

— Ach! te historie z kobietami!... To okropne!

W sześć dni po zamachu, to jest gdy silna gorączka, która mnie trzymała w łóżku, opadła, Joe zawezwał mego szwagra, Marcadiana. I jemu opowiedział tę samą historię, która zarazem czyniła bardzo prawdopodobną ucieczkę Lucy. Dzięki tym wszystkim ostrożnościom i łącząc wszystkie wypadki razem, Joe i Duncan odrazu zdołał usunąć wszelkie podejrzenia, jakie mogłyby się zrodzić u zainteresowanych co do zniknięcia tej dziewczyny. W ten sposób zabójca stał się zupełnie bezpiecznym a ja przez swe milczenie zmuszony byłem służyć mu za współnika.

Marcadian nie mógł dość wyrazić swego oburzenia z powodu tej podłości Lucy i współuczucia dla mnie. Pytał się, czy mam zamiar wnieść skargę do sądu na tę Lucyję Weill... i ofiarował swoje usługi. Swą ciężką głową, obwiązaną jak mumia bandażami, kiwnąłem przecząco. Joe zaraz wytłómaczył:

— Taka była moja pierwsza myśl. Nie zwierzyłem się z nią jednak swemu przyjacielowi Jonatanowi Brentano, który przy swej wielkości duszy, swą osobistą zemstę poświęcił, za co jestem mu wdzięczny, dla dobra mego syna i pańskiej uroczej siostrzenicy!... Podobna skarga poruszyłaby w następstwie dawne brudy, w złym świetle postawiłaby w oczach Eweliny Williama i narobiłaby każdemu wiele przykrości... a w gruncie rzeczy poco to to wszystko? Dla platonicznego zadowolenia Jonatana, który otrzymałby za całą satysfakcję skaza-

nie takiego potwora!... Przytem jeszcze trzeba zwrócić uwagę na to, że sąd przysięgłych jest bardzo względny na występki z miłości!... Czy to wszystko naprawiłoby zeszpecenie mego drogiego przyjaciela?... Ja osobiście jestem za zemstą, za zemstą do ostateczności!... ustąpiłem jednak wobec prób i łagodności Jonatana! Oswobodziliśmy się wreszcie wszyscy od tego potwora i pewni jesteśmy, że nigdy już go nie zobaczymy... Uciekla!... Niech ucieka!

Szwagier mój przytakiwał tylko temu, tak jasnemu tłumaczeniu. Wydawał się bardzo zadowolonym z tego postanowienia. Ścisnął mnie z wdzięcznością za rękę i rzekł uroczyście.

— Master Brentano, pan jest bohaterem!

Jego przesada, jak się potem okazało, miała pozory prawdziwości. Zwrócił się do Joa:

— Zawiadomę zaraz o tem pańskiego syna, Williama!...

— Nie potrzeba! — przerwał milioner — William poddaje się łatwo wrażeniom i łatwo znajdzie powody, by pomścić Brentana!... Nie potrzeba go pobudzać do robienia nowych głupstw!... Niech pan pamięta, drogi mecenasie, że tu chodzi o dobro pańskiej siostrzenicy!... Tak Brentano jak i ja dbamy o nie bardzo!... Czyż nie tak, Jonatanie?

Znowu potwierdziłem. Ten budyta Joe miał jakiś specjalny dar, iż okazywał się każdemu pomocnym!... Błyszcząc ciągle przed naszymi oczami staraniem o nasze dobro, zmierzał prosto do swych nieprzeniknionych celów!...

Mówił dalej:

— Z zawiadomieniem o tem Williama poczekajmy na zupełne wygojenie mego przyjaciela... Oni sami porozumieją się!

Marcadian przyznał mu słuszość i jeszcze raz ścisnął mnie bardzo serdecznie za rękę.

Gdy po raz pierwszy wstałem z łóżka, Joe, który w swych staraniach o mnie był ciągle jednakowo czuły, doprowadził mnie do okna, oblanego słońcem... Park wydał mi się smutnym, drzewa ogołocone z liści zamarłymi, kłaby bez kwiatów spustoszone!... Bambu, negr, który przykładał rękę do mych tortur, zamiatał aleje zasypane zeschniętymi liśćmi... Jak stary przyjaciel, który zasyła pozdrowienie, kiwnął mi na powitanie głową.

Podczas swej rekonwalescencji często widywałem Bambu. ani razu jednak nie spotkałem drugiego negra Dżima, świadka zabójstwa Lucy Weill... O nieobecność jego zapytywałem naiwnie Bambu, lecz za każdym razem odpowiadał mi swym wiecznem:

— Pfiut!... Przepadł jak zaczarowany, panie!... Pojechał jak Lucyja!...

Nie miałem najmniejszego zamiaru przypominać Joe Duncanowi tej krwawej nocy, ani wyciągać go na zwierzenia, które mnie przerażały... Joe zaś zachowywał o tem głębokie milczenie. Dla szczęścia Eweliny byłem gotów wszystko znieść... Zniknięcie Dżima i Lucy były to fakty już dokonane i nie na nie nie można było poradzić, jak i na śmierć mej ukochanej żony Gabryeli, jak i na me zeszpecenie!...

Dnia tego, lekarz zdjął ze mnie ostatecznie wszystkie bandaż... Powracał on ciągle do swego ulubionego frazesu o złośliwości kobiet:

— Ach! te historie z kobietami!... Będzie pan o tem pamiętał przez całe życie!

Pierwsze lustro, w którym z przerażeniem mogłam ujrzeć swą straszną twarz, przyniósł mi Joe. Teraz, gdy już przyzwyczaiłem się do swej odrażającej brzydoty, nie sprawia to już na mnie takiego wrażenia... Przysięgam jednak, że w tej chwili lustro zadrżało w mej ręce! I ta głowa szympansa to ma być moja głowa! I ta twarz, w której niema nic ludzkiego, ta twarz zjedzona przez jakiś ohydny czerwony liszaj, to moja twarz!... Ta skóra pomarszczona, pozwijana, jakby wymoczona w soku porzeczkowym to jest moja skóra!... I taki dopiero, budząc wstręt w każdym, mogę żyć spokojnie bez obawy poznania!...

Trzęsąc się cały, oddałem lustro Joe Duncanowi; przez jakąś jednak łączność między żalem za utratą na zawsze własną twarzą, a pewnością, że będę żył spokojnie, nie mogłem powstrzymać się od wyrażenia spojrzeniem swemu katowi pewnej wdzięczności, którą on zaraz zrozumiał i od której cały rozpromieniał... Wyplacił sam honorarium doktorowi... Jak tylko lekarz wyszedł po wielu ukłonach, podszedł do okna i starannie je zamknął. Potem zadzwonił na Bambu, który przyniósł nam herbaty i pudełko cygar. Wybrał mi z nich jedno, napełnił filiżankę i wypił cukru... Następnie usadowił mnie w fotelu z troskliwością, jaką tylko matka może o